



Kryminał z myszką

85

Za progiem **mroku**

Anna
Kłodzińska

Anna Kłodzińska
ZA PROGIEM MROKU

Kryminał z myszką – Tom 85

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-51-8

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsze wydanie: MON, Warszawa 1988, seria „Labirynt”

Rozdział 1

Cień oderwał się od muru i przesuwał powoli, ostrożnie, jakby się czał. Uliczna latarnia słabo oświetlała bramę. Cień zatrzymał się na chwilę, czekał. Potem z bramy na podwórze wymknął się chłopak drobny, chudy, w dżinsach postrzępionych u dołu i ciemnej koszuli. Była już prawie północ, ale wciąż trwał upał rozżarzonego słońcem dnia, nie ostygły nawet ściany domów.

Chłopak mimo gorąca miał starannie zapięte rękawy koszuli. Na zapleczu kamienic przystanął, rozglądał się uważnie; chwilami pochylał się, kurczył, chwytały go dreszcze. W końcu przysiadł na porzuconych deskach, wtulił głowę w ramiona i tak pozostał.

Minął kwadrans. Na podwórze weszła z ulicy kobieta z dużą torbą w ręku. Miała może pięćdziesiąt lat, może trochę więcej. Szła wolnym, kołyszącym krokiem, posapywała i mruczała coś do siebie. Chłopak, drzemający w kącie na deskach, ocknął się nagle, uniósł głowę. Mimo ciemności dostrzegł kobietę, jej dużą torbę i drugą, mniejszą w lewej ręce. Bezszelestnie, okrążając idącą łukiem, zbliżył się do niej od tyłu, a wtedy skoczył. Nie zdążyła krzyknąć, zachwiała się tylko, rozejrzała przerażonym wzrokiem, usiłując zrozumieć, co się stało. Przez chwilę pomyślała nawet, że to kot. Kiedy stwierdziła, że wyrwano jej z ręki torebkę, chłopak był już po drugiej stronie Nowego Świata i zniknął za długim pawilonem rzemieślniczym. Krzyku napadniętej nie słyszał.

Wciśnięty między pojemnik na śmiecie i mur, gorączkowymi ruchami zwinnych, brudnych palców wyciągał z torebki znajdujące się tam przedmioty. Na widok pliku banknotów przełknął ślinę, odetchnął z ulgą. Najbardziej nie lubił skoku „w puste”, a bilon wywoływał w nim grymas obrzydzenia. Starannie porozmieszczał pieniądze w dwóch kieszeniach spodni i w górnej kieszonce koszuli. Tak było przezorniej; gdyby pozbawiono go zawartości jednego schowka, zawsze pozostawały inne. Torebkę z resztą drobiazgów cisnął do pojemnika.

Teraz należało się śpieszyć. Od paru godzin czuł wzrastający, wciąż nasilający się głód. Bolały wszystkie mięśnie, ból promieniował od stóp do czubka głowy, przesywał tysiącem igieł, targał system nerwowy. Chwytały go dreszcze, od czasu do czasu torsje. Dobrze wiedział, że do rana nie wytrzyma. Skradzione pieniądze były wybawieniem.

Wyszedł znów na Nowy Świat, ale kilkadziesiąt metrów dalej, bo kobieta mogła zaalarmować milicję. Ostrożnie przemyczał się wzdłuż murów, szukał, rozglądał się. Zęby mu dzwoniły, więc zacisnął szczęki, bo wydawało mu się, że wszyscy to słyszą.

Nareszcie znalazł. W najciemniejszym kącie któregoś podwórza stał nieruchomo człowiek. Tylko głęboko wtajemniczeni wiedzieli, kim jest, poznawali z daleka tę krępą, kanciastą sylwetkę, zawsze w czarnej błyszczącej kurtce i adidasach. Nie drgnął, kiedy chłopak zbliżył się; poznał go, sięgnął do kieszeni. W mroku dostrzegł spoconą twarz i ręce, trzęsące się jak u starca.

– Wpadłeś w ciąg – stwierdził raczej niż zapytał.

– Masz towar? – Chłopak z trudem poruszał wargami.

– A masz dziadźki?

Skinął głową, pokazał kilka banknotów.

– Schodzę ze stanu – zachrypiał. – Daj!

– Ile?

– Cztery.

Handlarz przecząco pokręcił głową. Znał dobrze swoich klientów. Schodzić ze stanu, znaczyło: wielki głód. W takim momencie bardzo łatwo przedawkować, a potem już idzie szybko. Nie lubił widoku trupów.

– Nie więcej niż trzy – powiedział, wyciągając pełną strzykawką. – No? – Czekał niecierpliwie. Do świtu było niedaleko.

Chłopak wyszarpnął z kieszeni swoją strzykawkę. Nosiła ślady częstego używania, a jednorazowa igła służyła już z pewnością kilkadziesiąt razy. Ale to wszystko było – dla niego – bez znaczenia. Płyn koloru herbaty z wolna przepływał z jednej strzykawki do drugiej. Dokładnie tyle, za ile klient zapłacił. Z góry. Handlarz był przezorny.

– Zaraz huknę w kanał – zamruczał chłopak. Drżącymi rękami rozpiął rękaw koszuli, podciągał wyżej. – Zaraz...

– Ropieje – zauważył tamten, patrząc na jego skórę. – Już nie ma gdzie żgać.

– Fachowo to się nazywa: przewlekłe stwardnieniowe zapalenie żył – odparł chłopak. – Nie masz psychedryny?

Handlarz uśmiechnął się pogardliwie.

– Dla takiego gnojka, jak ty? Jeden gram kosztuje tysiąc trzysta. Gotuj sobie zupę, pić można litrami.

– Rzygam makiwarą. Kiedyś mogłem, teraz nie. – Chłopak nagle rozgadał się, „kompot” zaczął działać. – Jak wziąłem pierwszy raz...

– Nie obchodzi mnie! – syknął handlarz; omiatając wciąż wzrokiem ciemne podwórze. – Spływaj stąd.

– Jutro będziesz?

– Chyba. No, urywaj się, żywo!

Na jutro jeszcze są pieniądze – myślał chłopak, idąc potem Bednarską w dół. Od śniadania w barze mlecznym nie miał nic w ustach, ale nie chciał jeść. Głód, ten zwykły, „z żołądka”, nie był straszny, dawał się oszukać papierosem, snem. Za to tamten... Wstrząsnął się, nie chciał teraz myśleć, co będzie za kilka godzin. Policzył w myśli banknoty, ukryte w ubraniu. Handlarz w czarnej kurtce nie należał do najdroższych, brał za jeden centymetr „kompotu” tylko dwieście pięćdziesiąt. Inni żądali trzysta, nawet czterysta.

Więc tak. Pieniędzy starczy jeszcze na jutro przed południem i na wieczór. Co potem?... A jeżeli nie znajdzie się druga taka okazja, jak z tą starą w podwórzu Nowego Świata? Co robić? Kumple nie dadzą – pomyślał trzeźwo. W ich środowisku często rodziła się wrogość wobec tych, którzy zdobyli narkotyk, którzy mieli pieniądze, biżuterię, cokolwiek, co przedstawiało wartość materialną i dało się sprzedać. Kto nie oddał pożyczonej forszy, bywał bity do nieprzytomności. Chłopak wiedział, że najlepszy przyjaciel, kiedy jest „na głodzie”, może wpaść w szal, połamać wszystko w mieszkaniu, uderzyć, nawet zabić. Tak zdarzyło się raz na jego oczach i nie potrafił zapomnieć.

Matka już nie da – ciągnął leniwie rozważania nad przyszłością, która dla niego dzieliła się na okresy pomiędzy jednym a drugim „ćpaniem”. Tylko to było ważne, reszta nie liczyła się. Z domu mimo wszystko bał się wynieść cenniejsze przedmioty na sprzedaż. Mogła zauważyć i wypędzić, już to zrobiła, kiedy zapaskudził garnek gotując makiwarę. Prawda, że smród był okropny, aż sąsiedzi się zlecieli, zaczęli wydziwiać. Włóczył się potem parę tygodni po mieście, wreszcie spotkała go na ulicy, pozwoliła wrócić. Jaki był ten ich dom, to był, jednak miał w nim schronienie przed zimnem, łóżko, czystą koszulę.

Ale matka pieniędzy nie da. Każe iść do roboty. Już nie miał sił do pracy; nie wiedziała o tym, bo zawsze był chudy i wątły. Po trzech latach „ćpania” ważył tyle, ile dziecko. Pocił się, ręce się trzęsły, nie mógł spać, dokuczały bóle mięśni i głowy. Zżerał ciągły niepokój. Zaprowadziła go kiedyś do lekarza w rejonie. Zobaczył strupy na skórze przy żyłach, nakrzyczał, nawymyślał od narkomanów. Zapisał relanium i mruczał coś o opóźnionym rozwoju psychicznym, o zmianie osobowości i takie tam... Matka niewiele z tego zrozumiała. W domu kazała dużo jeść; powinien utyć, to nabierze sił i będzie mógł pracować. Patrzył na nią zimnymi oczami, mało go obchodziła.

Przysiadł na murku niedaleko brzegu Wisły; złote światła latarni odbijały się w wodzie. Przebiegał myślą sklepy, do których najłatwiej się włamać.

Handlarz w czarnej, błyszczącej kurtce sprzedał tej nocy jeszcze czternaście centymetrów „kompotu”, to było wszystko, czym dysponował. O świcie wsiadł do czerwonego malucha i pojechał do domu, aby przespać się przed następną nocą. Był zmęczony, postanowił, że od poniedziałku weźmie tydzień urlopu i przyśnie gdzieś nad morze. Albo na Mazury, z wędką. Znał miejsca ciche, nie odwiedzane przez turystyczną „stonkę” z tranzystorami, bez wrzasku małych. Można tam było przysiąc nad wodą, nie pamiętać o miejskich rozkoszach, od których czasem diabli go brali. Pieniądzy miał dość; wystarczy, żeby cały tydzień nie pracować. Żeby mieć noc i dzień dla siebie.

A jeżeli on się nie zgodzi? – zastanawiał się, stojąc pod chłodnym prysznicem. – Wtedy znajomy internista, daleki krewniak, da zaświadczenie o zapaleniu czegoś tam, czego na oko nie widać. Można też wykombinować telegram o nagłej chorobie w rodzinie, a ta rodzina, dajmy na to, pod Olsztynem. Bo tak zwyczajnie powiedziec mu: jestem cholernie zmęczony, chcę wyjechać – to się nie da. Popatrzy po swoim, spod ciemnych okularów, aż człowiek gęziej skórki dostaje.

On miał ich do pracy trzech, każdy na inny rejon śródmieścia, każdy obsługiwał stałych klientów, zresztą wciąż zjawiali się nowi. Z nowymi trzeba było bardzo uważać, gliny mogły podstawić kogoś swojego i przyłapać. Każdy z tych trzech był od paru lat wypróbowany, doświadczonym okiem oceniał nieznanego klienta i albo sprzedawał, albo kopniakiem wyrzucał z podwórza, dodając mocną wiązanekę. Zatrzymanie przez tajniaka równało się klęsce, przepadał towar, strzykawka, szło się kiblować na kilka lat. Ale żadnemu z nich jeszcze się to nie zdarzyło.

Wrócił do pokoju, rozesał pościel na tapczanie, kiedy odezwał się telefon.

– Psianoga! – warknął, ale wiedział, że musi odebrać. Podniósł słuchawkę. – Halo?

– Morwa? – Poznał głos: to był on.

Tak, ja.

– Będziesz mi potrzebny.

– Kiedy?

– Dziś wieczorem. Dwudziesta druga. W fabryce.

Milczał chwilę, miejsce zaskoczyło go.

– Mam jeszcze towar – zaoponował ostrożnie. – Lepiej nie magazynować.

– Nie o to chodzi. Bądź punktualnie.

Handlarz nazwany Morwą położył się, ale długo nie mógł zasnąć. Polecenie wydało mu się dziwne i co tu dużo mówić, wzbudziło strach. Wiedział, może raczej domyślał się, że on wyróżnia go spośród całej trójki, darzy większym zaufaniem – jeżeli w ogóle w tym gronie ufało się komukolwiek. Czasem jednak wydawało mu się że najbliższym jego współpracownikiem jest Karniak, o którym mówiło się po cichu, że dla pieniędzy sprzedałby ojca, matkę, żonę i dzieci gdyby je miał. Karniak, pozbawiony wszelkich ludzkich uczuć, z mordą szympansa i szyderczym uśmiechem bandyty... Handlarz, który potrafił do „kompotu” dodawać strychninę albo cylert – miał jakieś starannie ukrywane kontakty z farmaceutami – lub wyciągi z niektórych grzybów. Jego klienci musieli za to płacić najwyższe stawki, nawet i pięćsetą za centymetr; w zamian zyskiwali najpierw stan błogiej euforii, potem gorączkę, halucynacje, czasem zapaść. Szeptano tu i ówdzie, że kilku z nich przejechało się już na drugą stronę, głośno jednak przy Karniaku nikt o tym nie mówił. Bali się go. Stał wciąż zbyt blisko Błatego.

Morwa przewracał się z boku na bok, chciał wreszcie usnąć, ale telefon Błatego zaniepokoił go. Przecież szef nigdy sam nie chodził do fabryki, zawsze wysyłał tam Kulawca albo kogoś innego, jeżeli trzeba było skontrolować pracowników, nakłaskać im po uszach czy coś w tym rodzaju. Nikt w fabryce nigdy Błatego nie widział, pewnie nawet nie wiedzieli o

jego istnieniu. Oni trzej mieli z nim kontakt tylko jednostronny – to Błady ich wzywał w razie potrzeby, odbierał pieniądze w z góry umówiony sposób, telefonował, o wiele rzadziej przychodził do domów. Nie znali jego adresu, prawdziwego nazwiska, nawet imienia. Tak było od samego początku. Zarabiali dzięki niemu tyle, że reszta nie powinna była ich interesować. Błady ściągał dla siebie trzydzieści procent.

Mówiąc szczerze, Morwa go nie rozumiał. Tylko trzydzieści? Jako ten, który wszystko trzymał w garści, zorganizował, podporządkował sobie fabrykę i handel, Błady mógł śmiało ściągać dwa, trzy razy tyle. Ale nie chciał. Dlaczego? Przecież nie z dobroci serca, śmiech na sali, w coś takiego nikt by nie uwierzył. Trójka handlarzy wierzyła tylko w zysk, w wyciąganie od narkomanów jak najwięcej pieniędzy. Nic poza tym. Bez forsy nie dawali ani ćwierć centymetra, choćby ktoś czołgał się przed nimi, żebrał, zalewał się łzami, nawet konał. Całe to „ćpające” towarzystwo mieli w pogardzie, sami wolni od nałogu, trzeźwi i skąpi jak współczesne harpagony.

Morwa nie odważyłby się zapytać Błatego, o co mu właściwie chodzi. Pozostali z trójki nie wiedzieli i nic ich to nie obchodziło. Byli zadowoleni, że w ten sposób dostają więcej.

– Ty masz ce-ka-em! – powiedział mu kiedyś Karniak, wykrzywiając swoją małą twarz.

– Nie rozumiem! – zachnął się.

– Ce-ka-em, czyli: ciężko kapująca mózgowica! – zarechotał tamten. – Za dużo nie pytaj, bo ci kto nadweręży urodę.

Czyżby Karniak znał Błatego lepiej niż inni? – zastanawiał się później niejednokrotnie.

Czy naprawdę chciał dać do zrozumienia, że zna przyczynę tego – zaledwie – trzydziestoprocentowego zysku?

*

Na dalekich peryferiach północnej Pragi ciągnęła się, krańcem dotykając kartofliska, mała uliczka o nazwie Boczna. Miała sześć piętrowych starych willi z ogrodami, zamieszkałych od paru pokoleń przez zasiedziałe praskie rodziny; dalej stały już tylko drewniane baraki na podmurowaniu, jakieś szopy, opuszczone magazyny z głębokimi piwnicami, do których od dawna nikt nie zaglądał, a przynajmniej tak się wydawało.

Morwa zostawił wóz na strzeżonym parkingu, w sporej odległości od Bocznej; dalej szedł, tak było bezpieczniej. Wieczorem nad Warszawą przeleciała gwałtowna burza i oczyściła powietrze. Czerwiec był w tym roku upalny, deszcze przynosiły krótkotrwałe ochłodzenie.

Spojrzał na zegarek. Do dwudziestej drugiej brakowało jedenastu minut. To dobrze. Wolał przyjść wcześniej i czekać, niż narazić się na parę zjadliwych słów. Zwłaszcza jeżeli z Bładym przylezie Karniak. Goryl. Obstawa. Wierny pies, który przy pierwszej okazji zagryzłby swego pana – myślał z niechęcią, obserwując ulicę. Z daleka dobiegał szum pojazdów, w jednej z willi bawiono się, przez otwarte okna można było dostrzec roztańczonych ludzi. Dźwięki jakiegoś rocka czy beatu zagłuszał chwilami warkot śmigłowca, krążącego nad Wisłą.

Morwa przyjrzał się budynkowi, przed którym stał. Po raz któryś pomyślał, że Błady dobrze to urządził. Barak był solidnie zbudowany, długi i niski, z porządnym ogrodzeniem i furtką, zamykaną na podwójne zamki. Nad wejściem świeciła się lampa, pod nią widniała żółta tablica z napisem: „Zakład Wytwórczy Wyrobów Polistyrenowych”. O właścicielu nic nie było, ale Morwa wiedział, że wszystko jest tu załatwione formalnie, legalnie, z dokumentami na nazwisko żony Kulawca, czyli Antoniny Kozłoń, obywatelki z uprawnieniami do prowadzenia zakładu.

Wytwórnia pracowała od ósmej do szesnastej, potem zamykano cały interes i załoga szła do domu. Byli to osobnicy ze wszech miar dobrze notowani, fachowcy w branży, których zakład obchodził jedynie w czasie tych ośmiu godzin i w trakcie wypłaty. Zarabiali nieźle, Antonina Kozłoń dawała od czasu do czasu premie, nie mieli żadnych kłopotów z materiałem, częściami zamiennymi do maszyn, nie skarżyli się na brak odzieży roboczej, rękawic czy mydła w maleńkiej łaźni, gdzie była nawet gorąca woda.

Produkowali najróżniejsze folie na potrzeby elektrotechniki i na izolatory, a także wyroby gospodarstwa domowego, zabawki, pianki meblowe i takie tam. Dostawali do tego wszystkiego granulaty polistyrenu, wytwarzali metodą wtrysku, wytłaczania i prasowania.

Tyle Morwa wiedział o zakładzie. Tyle musiał wiedzieć każdy z trójki, poza tym jednak mieli surowo nakazane trzymać się od załogi jak najdalej, nie wchodzić w żadne kontakty, a najlepiej nie pokazywać się jej na oczy. Mieli wzbroniony wstęp na teren wytwórni, choćby się paliła. Ich fabryka była też tu – ale i zupełnie gdzie indziej. I tę fabrykę znali bardzo dobrze. Z kolei nie mieli o niej pojęcia ci z wytwórni, chociaż znajdowała się dokładnie pod ich nogami...

Tak, Błady doskonale to wymyślił. Polistyrenowe wyroby, jak to chemia, wydzielają w trakcie produkcji przykre zapachy. I nikt postronny nie zwróciłby uwagi, że ciężki smród trwał nie zmniejszony przez niemal całą noc, dokładnie aż do trzeciej rano. Następne pięć godzin zabierało staranne wietrzenie i wypędzanie go z baraku i najbliższego otoczenia. Może czasem któryś z pracowników wytwórni zdziwił się, kiedy po przyjściu do zakładu poczuł jeszcze w powietrzu jakąś nie znaną mu „chemię”. Nie rozmawiali jednak o tym, to nie był ich interes.

Morwa drgnął, w ciemnej uliczce dojrzał zarys dwóch sylwetek, usłyszał ciche kroki. Zgasił na wpół wypalony papierosa i wyszedł im naprzeciw. Oczywiście, obok Błatego człapał Karniak, wielki, niezdarny, z łapami tak długimi, że sięgały do pół łydek.

Błady jak zwykle miał na twarzy ciemne, duże okulary i kapelusz, nasunięty głęboko na czoło. W zaciśniętych wargach tkwił papieros. Szczupła sylwetka, granatowy prochowiec mimo upalnej nocy mocno ściągnięty w pasie.

– Otwórz! – powiedział do Karniaka. Przesunął papieros z jednego kącika ust w drugi, popatrzył dokoła. Teraz dopiero jakby dostrzegł Morwę, ale handlarz wiedział, że to gra. Błady wyznaczył mu jedną tylko rolę: Morwa miał prawo istnieć, dopóki się nie sprzeciwił, dopóki wypełniał dokładnie polecenia. Był posłusznym sługą tego człowieka, tak to w rzeczywistości wyglądało. Na takiego sługę nie zwraca się uwagi.

Karniak wyjął z kieszeni pęk kluczy, otworzył furtkę, poczekał, aż przejdą, i zamknął starannie. Przed drzwiami wytwórni Błady zatrzymał się, jakby zawahał. Odrzucił niedopałek na trawę. Przez chwilę stał zamyślony, a tamci czekali cierpliwie. Tak czekają dobrze wytresowane psy, aż pan da znak i pozwoli ruszyć dalej.

– Ilu tam jest? – spytał wreszcie. Głos miał przytłumiony, ale potrafił wrzasnąć, rozeźlić się, wtedy trzęśli się ze strachu.

– Powinno być sześciu – Karniak spojrzał na niego niepewnie.

– Powinno? – Błady syknął z irytacją.

– No, przecież nie sprawdzałem – tłumaczył. – Wczoraj kontrolował Kulawiec i taką liczbę mi zgłosił.

– Wejdz i zobacz. Z nim – pokazał ruchem igłowy na Morwę. – Ja zaczekam.

Patrzył, jak szli wzdłuż baraku i znikli w ciemności. Karniak znów wyjął klucze, tylne wejście miało zamki potrójne, prawie niewidoczne w małych piwnicznych drzwiczkach. Kiedy się uchyliły, przenikliwy zapach uderzył im w twarz. Była to mieszanina amoniaku, chloroformu, jakichś odczynników, smród miał w sobie ohydny gorzyc, zapierał oddech. Morwa z trudem przełknął ślinę. Jak oni mogą tu wytrzymać? – pomyślał któryś już raz, schodząc za Karniakiem po betonowych schodkach.

Obszerna piwnica, oświetlona kilku stuwatowymi żarówkami, nie miała okien. Powietrze dostawało się tutaj przez ukryte w ścianach wentylatory. Na środku stała sporej wielkości kuchnia elektryczna, po bokach kilka długich stołów, taborety, a przy samych ścianach worki, wypchane suszem makowym. Każdy ze znajdujących się tutaj pięciu mężczyzn zajęty był wyznaczoną mu robotą. Na odgłos kroków nie oderwali się od niej, któryś rzucił tylko okiem – obojętnym, może nawet trochę niecierpliwym.

Karniak przeszedł się między stołami, popatrzył dłużej na to, co działo się na kuchni, i spytał najbliższego stojącego:

– Dlaczego tylko pięciu?

Zapytany wzruszył ramionami. Zajmowały go tampony z waty i butelka z odczynnikami; przybysz wyraźnie przeszkadzał w robocie.

– Gdzie jest Grzybniak? Dlaczego nie przyszedł?

Znowu milczenie. Karniak splunął, bo chemiczne wyziewy dławiły go w gardle, po czym szarpnął pytanego za nagie ramię, pełne blizn i ropiejących ranek.

– Pytałem cię, co z Grzybniakiem? – krzyknął. – Gadaj, do cholery!

– Nie wiem – burknął tamten. – Nie widziałem go.

– Grzybniak w szpitalu – odezwał się inny chłopak, chyba najmłodszy ze wszystkich.

– Bo co się stało?

– Zapaść.

– Przedawkował? – spytał Morwa, przecierając łzawiące oczy.

– Chyba.

– Skąd wziął?

– Kupił.

Karniak zaklął brzydko, poczerwieniał ze złości.

– Dostajecie tutaj wystarczającą ilość, żeby nie ćpać w mieście – mówił, zacinając się; zawsze się zacinał, kiedy był zdenerwowany. – Dostajecie tyle, żeby nie być na głodzie. I warunek tylko jeden: nie wolno zwiększać dawki. Więc po jakiego diabła Grzybniak poszedł kupować?

– On był na głodzie – mruknął najmłodszy, akcentując słowo: był. Podeszedł do kuchni, wprawnym ruchem dolał do roztworu trochę wody.

– To znaczy, że... – Karniak umilkł nagle, bo uprzytomnił sobie, że tam na górze czeka Błady. I trzeba mu będzie powiedzieć o Grzybniaku. Zaklął znowu, spojrzał na Morwę. Ale tamten odwrócił głowę. Nie moja sprawa – myślał. – Ja nie kontroluję fabryki. Ja tylko przychodzę tu po towar. Grzybniak chyba „przyćpał” tutaj, i to niejednym razem. Przekroczył dopuszczalną dawkę. Nie moja sprawa.

Nie zauważyli, że od paru minut Błady stał w połowie schodów i słuchał. Kiedy się odezwał, drgnęli zaskoczeni.

– Jeżeli wróci, zwolnisz go – powiedział do Karniaka. Przyglądał się po kolei twarzom, ruchom, sylwetkom pięciu mężczyzn, produkujących heroinę, przede wszystkim heroinę, zresztą morfinę też. Obserwował ich długo, w milczeniu, nie zszedł niżej, tylko tkwił wciąż na schodach, prawie niedostrzegalny w mroku. Mocne żarówki umieszczono tak, aby rzucały światło tylko w dół, na stoły i kuchnię.

Morwę zastanowiło to „jeżeli wróci”. Jeżeli, a nie: kiedy wróci. Mogło to oznaczać tylko: jeżeli przeżyje. Błady najwidoczniej nie obawiał się ucieczek, odkrycia tajemnej fabryki, zadenuncjowania jej przez kogoś z narkomanów. I Morwa zgadzał się z nim. Tych sześciu – teraz pięciu – dostawało tutaj swoją porcję „ćpania” regularnie, bez pieniędzy, tylko za robotę. Byli tak uzależnieni, tak całkowicie opanowani braniem, że wyrzucenie z fabryki byłoby dla każdego z nich najgorszą rzeczą, jaka mogła ich spotkać. Tak przynajmniej – czasem, bardzo rzadko – zwierzali mu się, kiedy przychodził tu po towar. Nie wyobrażali już sobie wiecznej gonitwy za pieniędzmi ani włamań czy napadów, to się nie mieściło w ich

możliwościach, psychicznych i fizycznych. Uważali, że w ich interesie, wyłącznie ich – Błatego w ogóle nie brali pod uwagę, nie wiedzieli o nim zresztą nic – leży ukrywać tę piwnicę przed każdym niepowołanym okiem. Również przed innymi narkomanami, którzy mogli stanowić groźną konkurencję.

– W jakim szpitalu jest Grzybniak? – spytał Morwa. Zdawało mu się, że Błady chce, aby ktoś zadał to pytanie.

– Nie wiem – burknął najbliższy stojący chłopak.

– Gdzie miał zapaść?

– W mieszkaniu. U Ewy.

Błady chrząknął ze złości. Końcem palców dotknął ramienia Morwy, ten zrozumiał.

– Byłeś tam? – ciągnął dalej.

Chłopak niechętnie skinął głową.

– Wzywaliście lekarza? Pogotowie?

Tamten popatrzył na niego ironicznie.

– Owszem. Kiedy Heniek był już daleko.

– Co to znaczy?

– Ale naiwniak z pana! Po prostu wynieśliśmy go przez drugie podwórze i jeszcze kawałek dalej, położyliśmy przy śmietniku. Potem zadzwoniłem z budki do Pogotowia, że leży. Taki jeden.

– Pytali, kto zgłasza?

– Pytali. Odłożyłem słuchawkę.

– Skąd wiedziałeś, że to zapaść?

– A bo to pierwszy raz? – Wzruszył ramionami. – Zawsze wtedy wynosimy daleko od mieszkania, żeby nam się gliny nie przyplątały.

Morwa przypatrywał mu się z dziwnym uczuciem niechęci. Tak, wiedział przecież, że tak robią. Rozumiał też dlaczego. Ale wiedział również, że czasami jest już za późno na interwencję lekarza. Że karetka musi nieraz, błądzić po peryferiach miasta, szukać „tego, co leży”. I bywa, że lekarz machnie ręką, bo może to tylko głupi żart, a on ma kilka innych ważnych interwencji.

Czasem też nie zadzwonią.

– Koleżeńscy to wy nie jesteście – mruknął.

Karniak odwrócił się w jego stronę, wykrzywił twarz.

– A tobie co strzeliło do łba? Na miłosierdzie ci się zebrało? – Splunął, było mu niedobrze od smrodu. – Nie chcą, to niech nie ćpają. Nikt ich nie zmusza. Wolna droga!

Zobaczył przerażone oczy i drżące wargi, roześmiał się.

– Nie wyrzucamy was przecież – rzucił niedbale. No, pracujcie! Jak przyjdzie kontroler, to was dokładnie wyliczy. Tylko żeby mi już żaden nie kupował na mieście, nie chodził po jakichś tam mieszkaniach na wspólne branie. Uprzedzałem kiedyś i powtarzam teraz. Rano do własnego domu, spać. A wieczorem tutaj.

Podszedł do schodów, spojrzął na Błatego, ten skinął głową, odwrócił się i wyszli. Morwa włókł się za nimi, dotąd nie bardzo rozumiejąc, po co właściwie kazano mu przyjść do fabryki tej nocy.

*

Dziewczyna zbudziła się nagle, szarpnięta za ramię. Ktoś stał nad nią, mówił coś gniewnie, ale słowa przelatywały niezrozumiałe, bardzo dalekie, przygłuszone bólem głowy i szumem w uszach.

– No, słyszysz czy nie? Mówię do ciebie! Jazda stąd, bo milicję zawołam!

Ocknęła się, podniosła z trudem. Mężczyzna, który do niej mówił, był siwy, niedbale ubrany, twarz cała w zmarszczkach, kij w rękę.

– Wyoń się! – krzyknął, oczy miał malutkie, pełne złości. – Do domu! Tu nie miejsce na spanie.

Chwiała się na nogach, ale sens słów dotarł już do niej. Każe się wynieść, iść do domu. Przecież go nie mam – chciała mu powiedzieć, zaraz jednak wzruszyła ramionami. Co go to obchodzi. Kimkolwiek jest, ma nad nią przewagę; dobrze wiedziała, od dawna, że na klatkach schodowych spać nie wolno. I to był błąd, wyłącznie jej błąd, że zamiast do „małego gaju” na Pradze przysłała tutaj, do bloku w śródmieściu. A ten stary to pewnie dozorca.

– Która godzina? – spytała, otrzepując z kurzu spódnice.

– Szósta, moja panno! – warknął. – Dzień roboczy, wtorek. Na śniadanie do „Victorii” – zachichotał. – No, wynocha!

Szósta. Dopiero. Opal żąda tysiąc za centa [*Cent – centymetr sześcienny*]. Doskonale wie, ten skurwiel, że takim jak ona można wydrzeć ostatnią złotówkę. Sprzedaje wyłącznie dziwkom i pedalom, ci ostatni mają najwięcej szmalu, kręcą się koło artystów, nadzianych starszych facetów, robią dziewczynom konkurencję, szlag by ich trafił!

Powłokła się do Dworca Centralnego. W toalecie umyła się, uczesała ciemne długie włosy i przez dłuższą chwilę spoglądała na swoją twarz w lustrze. Tak, teraz wczesnymi rankami wyglądała coraz gorzej, nie umalowana, torby pod oczami, wyschłe wargi. Dwadzieścia trzy lata skończyła w maju. Kto by ją zobaczył o świcie, dałby czterdziestkę. Westchnęła ciężko, wyjęła z torebki kosmetyczkę, aby doprowadzić się do jakiego takiego wyglądu. Nagle poczuła ostry, przeszywający ból; przebiegał po całym ciele, jak drapieżne zwierzę wgrzyzał się w każdy mięsień, podchodził torsjami do gardła, strużkami potu spływał po twarzy i plecach. Jęknęła, przysiadła na podłodze.

– Co pani jest? – spytała kobieta, sprzątajaca toaletę. – Źle się pani czuje? – Podeszła bliżej, przyjrzała jej się uważnie.

– Nic, nic – szepnęła, wstając z wysiłkiem. – Już przeszło. Pewnie zjadłam co niedobrego.

Ból szarpał ciało, zacisnęła wargi. Gdzie Opal? Musi go znaleźć jak najszybciej, bo nie wytrzyma. Siedem razy odwozili ją z ulicy albo z lokalu do szpitala na odwyk. Jakiś czas trzymały ją potem „rolki”, czyli relanium, chodziła na wpół śpiąca, apatyczna, było jej wszystko obojętne. Opal odnajdywał ją zawsze, gdziekolwiek się znalazła, ten człowiek wiedział o swoich klientkach więcej niż one same. Mogłaby przysiąc, że znał dzień i godzinę, kiedy opuszczała szpital. Zjawiał się przed nią z tym swoim drwiącym uśmiechem, wkładał rękę do kieszeni i pytał nieodmiennie:

– Ile?

Ostatnio doszła już do dziesięciu centów dziennie, to była góra, większe dawki wywoływały zapaść. Znała kiedyś dziewczynę, właściwie kobietę trzydziestoletnią, która czasami podwajała tę dawkę. Nie liczyła się już z niczym. Wykorkowała zresztą szybciej niż myślano, w ciągu paru godzin, gdzieś w pobliżu torów kolejowych. Trzy, może cztery lata wcześniej należała do najładniejszych na Woli, klienci szukali jej po ulicach i w knajpach, płacili bez oporu, ile zażądała. Ćpanie ją wykończyło.

Myślała teraz o tym wszystkim, idąc wolno Alejami Jerozolimskimi. Skręciła w Poznańską. Minęła pierwszą bramę, weszła do drugiej, jakby ktoś ją tam prowadził. Opal wyłonił się z klatki schodowej w chwili, kiedy wydawało jej się, że zemdleje. Chwycił ją, podtrzymał i wciągnął do najbliższej piwnicy. Jak zwykle, jak tyle już razy spytał tylko:

– Ile?

– Cztery – szepnęła, przed oczami latały czarne płatki, ręce drżały tak, że nie mogła wyjąć z torebki pieniędzy. – Daj! – poprosiła. – Widzisz, co się ze mną dzieje.

– Cztery kafle – odparł. – Ani grosza mniej.

– Ustąp trochę. Nie starczy mi na wieczór.
– To pójdziesz w miasto. Ten Kuwejczyk czeka na ciebie każdego wieczora w „Metropol”.

Wszystko wiedział. Stał przy niej, w jednej ręce ostentacyjnie trzymał pełną strzykawkę, drugą wyciągał po pieniądze. Podała mu dwa banknoty dwutysięczne, patrzyła błagalnie, ale kamień prędzej by się wzruszył niż Opal. – Dawaj swoją pompkę! Plastikową strzykawkę nosiła w torebce, zawiniętą w chustkę do nosa. Starannie odmierzył cztery centymetry i znikł tak szybko, jakby go wymiotło. Wyszukała najlepiej widoczną żyłę na ręce, między kciukiem i drugim palcem, zagłębiła igłę. Przypatrywała się tym rękóm, pełnym ciemnych plam po ukłuciach. Przez jedną krótką chwilę wróciła pamięcią do dawnych lat, do dzieciństwa, kiedy jej dłonie były jeszcze jasne, gładkie, twarz świeża i wesoła. Kiedy był dom. Zło wtargnęło razem z samobójczą śmiercią matki. Miała wtedy osiem lat. Potem ojciec zaczął pić. Wpierw trochę, z żalu, z czasem weszło mu to w nałóg. Wtedy rozpadł się dom, skończyło się dzieciństwo, a ona któregoś dnia poszła w świat. Szesnastolatka, po raz pierwszy „wzięła” w mieszkaniu Jacka. Brali wszyscy, chciała spróbować. Z ciekawości. Ot, co też to będzie, jak to będzie.

– Ładna jesteś – powiedział kiedyś Jacek. – Ale mnie to już nie bawi. Idź do „Metropolu”, do „Szampańskiej”, złap faceta, da ci na ćpanie. Jeszcze możesz u mnie mieszkać.

To „jeszcze” skończyło się po miesiącu, zastąpiła ją inna dziewczyna. Młodsza, ładniejsza. I z gotówką.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI